

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X 323.

7

(Ciąg dalszy).

Nie zważając na krzyk służącej, chciałem uciekać czempredzej, lecz w tej chwili Niete podniosła się jak widmo; ręką swą wskazała na portyerę, za którą się ukrywałem i wymówiła głosem przejmującym:

— Pan! Pan był tam?

Na moment straciłem głowę; tłómaczyłem się jak dziecko schwytane na gorącym uczynku..., jakaś się:

— Drzwi zamknięte... nie można wyjść... Zapewniam na swój honor... A tu pan Holsbein...

Przerwała mi z tragiczną boleścią:

— A więc pan wszystko wie...

Nie mogę wyrazić, ile przerażenia brzmiało w jej głosie.

Upadła na fotel, zakrywając twarz rękami, jak wcielenie rozpacz. Widok ten przestraszył mnie. Coś mnie popchnęło nagle ku niej. Lekko i delikatnie odejmowałem jej ręce, drżąc cały ze wzruszenia przy dotykaniu jej ciała i z oczami utkwionymi w jej rozrzuconych włosach, rzekłem prawie bezwiednie:

— Wiedziałem... od wczoraj już.

Jakieś niezwykle zdziwienie zamalowało się na jej twarzy. Powtórzyła:

— Pan wiedział, wczoraj wieczorem?... dzisiaj rano?

— Wiedziałem.

I niespodzianie dla samego siebie z ust mych popłynęły słowa, które im dyktowało serce.

— To litość i nieskończone poważanie dla niewinnej ofiary przywiodły mnie tutaj.

I ciągnąłem dalej zadowolony:

— Pani jednak musi mnie poznać... Maks Trelam, korespondent *Timesa*, człowiek uczciwy, a pani... brat w bólesci... Tak, tak, potwierdziłem na jej ruch przeczący. Tak, brat i ofiara także. Okoliczności zaplatały mnie w walkę ludzi chcących zatrzymać dokument i starających się odebrać go... Jeżeli ja żałuję pani cierpienia, proszę mieć litość i nad mojem.

Obecnie ta prośba moja wydaje mi się idiotyczną. Zdaje mi się jednak, że w chwilach przełomowych mówić bezsensownie jest szczytem geniuszu. Bezmyślność mego zdania spowodowała istotnie rozrównienie.

Concepcion potwierdziła:

— Senior jest przyjacielem.

Poczułem, że ręce Niete w moich rękach przestały sztywnieć.

— Och! błagam panią, niech pani nie oddaje się rozpacz... Poprzednio, zanim rozmowa nasza została przerwana, mówiłem pani, że jestem mieczem do walczenia za panią, teraz wyznaję, że jestem bratem.

Głupotę swą podtrzymywałem więc stanowczo w dalszym ciągu, szczerłość jednak mego wzruszenia nie ulegała wątpliwości.

— Cierpieć w osamotnieniu, oto co jest najstraszniejsze! Lecz jeżeli pani mi ufa, będziemy płakali oboje... Widzi pani, że tylko z wielkim trudem powstrzymuję swe łzy... oboje też znajdziemy dla siebie drogę wybawienia... Niech pani nie sądzi mnie z obecnego wzruszenia. W zwykłych warunkach jestem bardzo energiczny i wtedy rozumiem z większą logiką.

Pod naporem mych słów młoda dziewczyna zdawała się opanowywać siebie. Podniosła się wolno, pozostawiając ręce w mych dłoniach.

— Dziękuję panu... Przed chwilą nieznajomy, teraz przyjaciel, przyniósł mi pan pociechę, o której nie wierzyłam, by mogła dla mnie istnieć. Wstrzymam się jeszcze z decydującym postanowieniem. Dokonał pan cudu, dając mi cierpliwość oczekiwania. Scisnąłem silnie jej delikatne palce.

— Tylko — rzekła z melancholią... pan wie wszystko i musi rozumieć zbyteczność powtarzania tych słów, jakimi już pana pożegnałam; jestem z rzędu tych, których należy pozostawić ich przeznaczeniu, zapominając, że się ich spotkało.

Potem z uśmiechem rozdierającym mi serce zakończyła:

— Poczekam, lecz... bez nadziei...

— Czekać, jest to nadzieja, zawołałem silnie...

Zawahała się na chwilę i raczej, by położyć koniec naszej rozmowie, niż z przekonania, szepnęła:

— Może być...

Potem cofnęła swe ręce i rzekła do Concepcion:

— Odprowadź mnie!

Skierowała się do drzwi. Na progu obróciła się,

objęła mnie spojrzeniem i usta jej otwarły się dla tych słów:

— *Adieu*, dziękuję panu, *adieu*!

I wyszła z postępującą za nią Concepcion, która gniewnie wzruszała ramionami, jakby wszystko nie odbyło się według jej myśli.

Pozostałem sam z całą burzą myśli, z których jedną tylko rozumiałem dokładnie:

— Nic już nie mam do czynienia w tym pawilonie, ani też w ogrodzie Casa Avreda.

Gdy się nie ma nic do czynienia w jakim miejscu, najlepiej je opuścić, co też uczyniłem, zmierzając do furtki w murze.

Podchodziłem już do niej, gdy naraz cofnąłem się szybko. Jakiś służący w liberyi hrabiego zbliżał się do tych drzwi. Nie należało pokazywać się temu człowiekowi. Dopiero gdy on wyszedł, nie podejrzany wcale, że jest śledzony, wysunąłem się sam na ulicę Zorilla.

Na dwadzieścia kroków przede mną szedł on właśnie w kierunku hotelu de la Paix, do którego i ja zmierzałem. Bezwiednie stosowałem swe kroki do niego. Był on już przy miejscu, gdzie z drugiej strony wznoszą się mury willi Hermosa, a z drugiej znajduje się ogrodzenie ogrodu i mały pawilonik z niskimi drzwiami i dwoma oknami, przeznaczony zapewne dla stróża. Służący minął już pierwsze okno, gdy nagle odniosłem raczej wrażenie, niż widziałem, że okno się otworzyło i coś białego uderzyło tego człowieka z tyłu głowy.

Stało się to tak szybko, iż mógłbym myśleć, że ulegam halucynacji, gdyby człowiek ten nie złapał się zaraz ręką za miejsce uderzone i w tej chwili nie zachwiał się i nie upadł na ziemię.

Cóż to może znaczyć? pomyślałem sobie i pośpieszyłem mu na pomoc. Nie zdążyłem jednak dobiegnąć jeszcze do niego, gdy drzwi pawiloniku otworzyły się, jakiś brunet wyskoczył z nich i chwytając służącego, chciał go wnieść do środka.

Jednym skokiem znalazłem się przy nim i zawołałem:

— A pan co tu robi?

Mężczyzna ten odrzekł gniewnie:

— Co panu do tego!

W chwili tej podniósł głowę, ukazując mi śniadą twarz, oświeconą dwójgłosem nadzwyczaj żywych oczu i ku memu wielkiemu zdziwieniu roześmiał się, mówiąc:

— Doskonale! Maks Trelam z *Timesa*... Cieszę się, że pana widzę. I z miną najspokojniejszą, jakby prosił o zapalną do papierosa, dodał, podnosząc leżące za ramiona:

— Niech go pan weźmie za nogi i wracajmy. Ulica nie jest odpowiednia do długich rozmów.

Na myśl mi nie przyszło opierać się mu... byłem jak zahipnotyzowany. Człowiek ten, prawdziwy zabójca, robił ze mnie swego współnika, a ja nie sprzeciwiałem się, lecz posłusznie wziąłem ofiarę za nogi i wszedłem do domku; drzwi za nami zaraz się zamknęły.

Znalazłem się w małym, nędznym pokoiku, który za całe umeblowanie miał stół z gotującą się wodą na spirytusowej maszynie, kilka krzeseł wypłatających i kanapę o starem, wypłowiałym czerwonym obiciu. Na tej kanapie złożyłem swój niezwykle ciężar. Mając obecnie ręce wolne, skrzyżowałem je na piersiach, wyprostowałem się i przybrałem godną minę obywatela, który ma zażądać od drugiego obywatela zdania rachunków z jego czynności.

Brunet ten nie patrzył na mnie. Pochylony nad „trupem“ rewidował kieszenie jego ubrania. Po zabójstwie kradzież... zabierał się do swych czynności, jakby mnie tam wcale nie było. Wyprowadziło mnie to z cierpliwości.

— Przepraszam, jeżeli panu przeszkadzam... zacząłem.

Przerwał mi zaraz:

— Widzi pan, iż wcale mi pan nie przeszkadza... Jeżeli jednak chce pan porozmawiać, to proszę poczekać, aż skończę swe zajęcie.

On nazywał to swoim zajęciem. Jakiegoż człowieka mam przed sobą? Naraz podniósł się uradowany:

— Wreszcie! byłem tego pewny!

Słowa te nie stosowały się do mnie, lecz do listu, który wyjął z ubrania tego nieszczęśliwego służącego.

— Pismo hrabiego Holsbeina, mówił do siebie... Przeznaczone dla pana Koeleritza... Coś ciekawego!

Teraz zdrząłem! Holsbein, Koeleritz wywoływały we mnie wspomnienia, o których scena tego zabójstwa kazała mi narazie zapomnieć. Czyż znowu powracam do tego dramatu politycznego, z którym będmusiał się podzielić we właściwej porze z czytelnikami *Timesa*?

Odczułem pewną ulgę. Zabójstwo to nie było na-

padem zwyczajnego zbrodniarza. Lecz brunet ten był przeciwnikiem hrabiego Holsbeina? A więc w takim razie przyjacielem X 323. Nie pozwolił mi jednak pytać się. Oglądał szczegółowo ten list, mówiąc właściwie do siebie, niż do mnie.

— Zwykły arkusz papieru złożony we dwoje i skleiony dwoma opłatkami. Nic trudnego otworzyć.

Umoczył ostrze szczyryka w wodzie gotującej się i czekając, by ono się rozgrzało, tłómaczył:

— Opłatek zwilżony traci lepkość i w najłatwiejszy na świecie sposób można go odjąć.

Spojrzał na mnie jakby się pytał, czy rozumiem i ciągnął dalej:

— Z pieczątką woskową jest dłuższa robota... Ale ja postarałem się już o odcisk pieczętki hrabiego Holsbeina, również więc łatwo mógłbym się z nią załatwić.

— Pan wiedział w takim razie, że ten list będą nieśli koło pańskich drzwi?

— Naturalnie.

Naturalnie! Ależ to wcale nie jest naturalne. Musiał on domysleć się, co się dzieje w mej głowie, gdyż dodał z uśmiechem:

— Podczas gdy hrabia Holsbein znajdował się przed chwilą w pawilonie...

Bezwiednie zawołałem ze zdumienia:

— W pawilonie, pan wie?...

Dziwny ten człowiek wzruszył lekceważąco ramionami, jakbym pytał się go, czy mleko pije widelcem. Nie odpowiedział nawet na me słowa, lecz mówił dalej:

— W tym czasie posłaniec od pana Koeleritza przybył do Casa Avreda. Pan Koeleritz jest prędki i niecierpliwy go bardzo wszystkie zwłoki Holsbeina, a przytem chciałby już skończyć swe sprawy z hrabią... Pan Koeleritz jest urzędnikiem „na widoku“ i głośnym, Holsbein zaś jest takim samym urzędnikiem ale „w zmroku“ i cichym. Oj, oj! korzysta się nieraz z tego, kim się pogardza... Jednym słowem ten znaczny poseł nadzwyczajny, który pomaga szpiegom, myjąc sobie potem ręce, nalega na hrabiego, by mu wręczył dokument.

Śluchałem z otwartymi ustami. Człowiek ten stał się dla mnie wszędzie obecnym i wszystkowiedzącym: Jednocześnie był świadkiem dramatu moralnego, jaki odbył się w pawilonie i przybycia posłańca pana Koeleritza.

Oszołomiony tem wszystkim zapytałem:

— Lecz skąd pan to wie?

— Skąd? a skąd się wie inne rzeczy? Chcąc wiedzieć.

Potem zmienił ton:

— Powróćmy do tego, a teraz przeczytajmy list tego dzielnego hrabiego.

Wilgotnem ostrzem podważył delikatnie opłatek i list otworzył. Utkwił zaraz w niego oczy. Poczem po chwili rzekł prawie po przyjacielsku:

— Nie mam tajemnicy przed panem, panie Maks Trelam, znam pana i wiem o pańskim przywiązaniu do *Timesa*, miarkowanem jednak pańską lojalnością. Niech pan posłucha, co pisze hrabia do swego współnika:

Przeczytał:

„Ekscellencyo.

Następnej nocy pójdę po tajemny dokument tam, gdzie go na szczęście schowałem. Proszę wydać rozkaz, bym każdej chwili został wprowadzony do pana... A potem należy tylko strzedz się, gdyż ten czart wojujący z nami jest istotnie straszny“...

— X 323? szepnąłem po cichu.

Spojrzał na mnie uśmiechnięty i zaczął przyglądać się planowi, dołączonemu do listu:

— Plan dzielniczy dotyczącej do muzeum Armeria, rzekł zamyślony... A tutaj punkt zaznaczony czerwonym atramentem, ...co on oznacza?

Nagle oczy jego błysły:

— Już wiem... Studnia Maurytańska!... Och, och! panie hrabio, zna pan dobrze Madryt... Tylko, że i ja go znam, jak i pan!

Potrzymał opłatek nad gotującą się wodą, by zwilgotniały, potem zapieczętował niemi ten list, iż wyglądał, jakgdyby był wcale nie ruszany.

Lecz cóż on czyni teraz, mój dziwny towarzysz? Włożył list do kieszeni umarłego..., a teraz bierze małą buteleczkę z jakimś zielonkawym płynem i kilka z niej kropel wpuszcza do ust trupa. Widząc, że patrzę na niego osłupiały, rzekł wesoło:

— Za pięć minut odzyska on zmysły i nie będzie domyslał się nawet ciekawego eksperymentu, jaki nad nim wykonaliśmy.

— Zawołałem z całą naiwnością:

— On nie jest martwy!

Usłyszałem za to drżącą odpowiedź:

— Gdyby nie żył, nie mógłby dokonać zlecenia jakie mu powierzył jego pan... A zależy mi na tem